

## Święty Salwator z Horty

### ROZDZIAŁ PIERWSZY, W KTÓRYM CZYTELNIK POZNAJE GWIAZDĘ WSCHODZĄCĄ NAD ZIEMIĄ HISZPANÓW.

Powiadają, że nie ma kraju o takich sprzecznościach i w historii i w duszach i w przyrodzie nawet samej, jak Hiszpania. Im więcej się zgłębia historię tego kraju, tym bardziej wyłaniają się coraz to nowe zagadki.

Dziwna to ziemia! W jednym miejscu przecudna flora i południowe owoce, a w drugim wprost bezpłodne pustkowje. Tu niemal tropikalne gorąca, a nieopodal klimat chłodny, czasem o mroźnych powiewach. Taka sama jest i dusza Hiszpana. Hiszpan zdolny jest do najwznioślejszych porywów, do wzlotów o najwyższej mistyce; ale z drugiej strony nie ma drugiego kraju, gdzie by żądza krwi i niskie instynkty były tak rozwinięte od dzieci niemal, aż do starców leciwych, jak właśnie w Hiszpanii. Na świadectwo tej prawdzie wystarczy wywołać szkoły mistyków i ascetów ze świętą Teresą z Avilli i św. Piotrem z Alkantary na czele, szkołę genialnych malarzy, jak Murillo i inni z jednej strony — aż drugiej wystarczy wspomnąć o tak słynnych w Hiszpanii „walka byków” i „walkach kogutów”, a to chyba dość, by sobie Czytelnik wytworzył w duszy obraz tej dziwnej ziemi.

Jeszcze dosadniejszym wyrazem tego czym jest Hiszpania, to współczesna nam straszna wojna domowa, w której zbrodnicza ręka synów tej ziemi podnosi się w niszczycielskim pochodzie, by wniwecz obrócić i z ziemią zrównać wszystko to, co ich ojcowie i pradziadowie z trudem wielkim w genialnej twórczości wznosili poprzez wieki, dla chwały Bożej i na sławę swojej świetnej ojczyzny.

Otóż na taką to ziemię i dla takich ludzi zwykła Opatrzność Boża posyłać swoich wielkich wybrańców, którzyby wnosili na tę ziemię tak niezrównoważoną, święte tchnienie wielkiej Bożej równowagi. Gwiazdy te pojawiały się zazwyczaj wówczas, kiedy w Hiszpanii bywało już bardzo źle. Kiedy już wszystkie ludzkie sposoby zawiodły, wtedy przychodziła z pomocą nędzy człowieczej — wszechmoc Boża. Tak było w zaraniu szesnastego wieku w tej części ziemi hiszpańskiej, której na imię Katalonia. Czasy to były wielkich błędów, wypływających z tak zwanej „reformacji” Lutera, ale i wielkich upadków moralnych, które zazwyczaj towarzyszą powstającej herezji. W umysłach i sercach ludzi panował zamęt okropny. Nauka Kościoła św., która się tak cudnie rozwinęła była w przeciągu piętnastu stuleci, stanęła nagle przed wielkim niebezpieczeństwem. Marny rozum ludzki jął się niepożądaną „reformę” dzieła Bożego. Starano się sprowadzić człowieka do jakiejś prywatnej tylko i osobistej łączności z Bogiem, a jedyną powagą dla rozumu ludzkiego miało być tylko Pismo św. i to na swój sposób i według własnego widzi mi się interpretowane. Na nic dogmaty, na nic kult jakiś i karność kościelna, nie uznawano Eucharystii, spowiedzi, ani autorytetu papieży, ani powagi Kościoła.

A wobec tego czyż można się było dziwić, że w ślad za tak pojętą dogmatyką poszła też i swoista moralność, również pojęta według osobistych upodobań. Jak wszędzie tak i w Katalonii, ofiarą podobnego przewrotu padał biedny, prosty lud po wsiach i po miastach. Jedni dla braku chleba, inni z nędzy moralnej, a jeszcze inni nękani chorobami i kalectwem różnego rodzaju, burzyli się i niepokoili. Wielkimi krokami zbliżano się ku jakiejś wielkiej rewolucji, któraby przyniosła wyzwolenie ludu. Wówczas to w małej mieścinie katalońskiej, zwanej Santa Colomba di Farnes, przyszło na świat dziecię, które Opatrzność Boża powołała sobie do wielkiej i wyjątkowej misji.

Był to rok 1520-ty. Miasteczko szczyliło się wówczas okazałym szpitalem, do którego zwożono chorych z najdalszych nawet stron. W liczonym gronie posługujących w szpitalu żyło wtedy wzorowe małżeństwo, którego całe chrześcijańskie życie podzielone było pomiędzy służbę Bogu i służbę bliźniemu. Z tego właśnie małżeństwa zrodził się w wigilię Bożego Narodzenia chłopak, któremu na Chrzcie św. nadano imię Salwador, co po polsku znaczy Zbawiciel. Bo istotnie wybawicielem się stać miał w przyszłości setek i tysięcy chorych ciał i jeszcze słabszych dusz. Nie było i to bez specjalnego rozporządzenia Boskiej Opatrzności, że św. Salwator przyszedł na świat w takim właśnie otoczeniu.

Ledwie bowiem doszedł do używania rozumu, gdy oto niewinne oczęta tego świętego pacholęcia, ustawicznie oglądać musiały ludzką nędzą. Ileż to bowiem dziennie przesuwano się przez szpital biedoty różnego rodzaju. Kalecy, schorzali, bezdomni czasem, młodzieńcy i dzieci nawet, tłoczyli się, szukając wygodnego łóżka, jakiejś opieki i zdrowia, a czasem po prostu — chleba. Serce młodziutkiego Salwatora ścisnęło się na widok tak wielkiej ludzkiej niemocy. Opowiadają żywotopisarze, że od najpierwszych lat dziecina ta święta Ignęła naturalnie do wszystkich biedaków. Jako kilkuletnie chłopię, pomagał już matce zmywać naczynie, układać pościel i inne nawet posługi, na jakie tylko go stać było w tym dziecięcym wieku, najchętniej spełniał. Kiedy wchodził na salę chorych, zdawało się jakby nagle promyk słońca zaświecił. W długiej białej sukience wbiegał uśmiechnięty i pogodny. Jego czarne jak heban oczy patrzyły łagodnie ale wnikliwie na każdego chorego z osobna. Na sali powstawał zaraz ruch.— Salwatoruku, podaj mi wody - wołał jakiś chory staruszek.— Dziecino, takiś podobny do mojego małego, który w domu został, podejdź tu bliżej — mówiła przez łzy jakaś chora niewiasta.

A tam gdzieś od sali, na której dzieci leżały, dolatywała istna muzyka głosów. Słysząc było klaskanie, a srebrne głosiki podnosiły się w radosnym wołaniu: — Salwadore, Salwadorelto!... — A święty chłopczyzna przebiegał od łóżka do łóżka jak anioł posłany z nieba, by dobrze czynić ludziom na ziemi. Tu jakiś uśmiech niesłychanie współczujący i dobry, tam usługa w sam czas oddana, gdzie indziej znowu szczególnie wśród dzieci słyszano jak miłym dźwięcznym głosikiem mały Salwatorek coś śpiewał. Śpiewał, by rozweselić dusze. Ale myliłby się, kto by sądził, że to już było jedyne zajęcie małego świętego. W chwile wolne

od pracy przy chorych, wkładał Salwatorek na czarną kędzierzawą główkę słomiany pastuszy kapelusz i z pieśnią wesołą gnał w pole trzódkę ojcową...

Owieczki ogromnie kochały swego małego opiekuna. Bywało, że zakładał mały dzwoneczek na koniec laski i szedł naprzód, a za nim dopiero postuszne stadko. I jakoś nigdy owieczkom Salwatora nie stała się krzywda. Czasem nawet, jak dobry pasterz stawał, w obronie swoich owieczek. Raz w czasie grożącego niebezpieczeństwa, kiedy zastąpił sobą owieczki przed dużym czarnym psem, omal że życiem tego nie przepłacił, wpadając z kładki w nurty wezbranego strumienia. Jaki to piękny obraz proroczy, w którym już przebija się troska św. Salwatora, ale troska inna, o inne owieczki, te, które są z owczarni Chrystusowej, a którym przyszły Cudotwórca poświęci kiedyś całe swoje życie. Takie to były pierwsze lata młodości i świątobliwego żywota brata Salwatora z Horty.

## **ROZDZIAŁ DRUGI, W KTÓRYM ANIELSKA NIEWINNOŚĆ NAPOTYKA NA SIEROCĄ DOŁĘ I TWARDY ŻYCIOWY TRUD**

Szybko mijały św. Salwatorowi lata jego sielskiego i anielskiego dzieciństwa. I ani się spostrzegł, kiedy rozpoczął już czternasty rok życia. W tym, niby grom z jasnego nieba poczęły spadać na świętego bolesne krzyże. Naprzód zmarła mu matka, a nie długo potem ojciec. I jak to między ludźmi bywa: chociaż tyle sobie serca mały święty zaskarbiał, chociaż na zawsze przywarło do niego nazwanie: „Salwatorek ze szpitala”, to wszystko nie przeszkodziło, by jakaś twarda i zimna ręka wypowiedziała mu pracę: „nie ma dla ciebie miejsca w tej gospodzie”. Cóż było robić? Święty chłopiec bierze swój mały tobołek i kij pastuszy do ręki i zgłasza się na służbę do jakiegoś gospodarza, znowu jako pasterz owiec. Niedługo tam jednak mógł pozostać. Ostała się bowiem w szpitalu młodsza siostra świętego, dziecina równie dobra jak on, ale również sierota i sama... sama jedna na świecie. Święty zrozumiał swój obowiązek wobec siostry. Toteż porzucił dotychczasową chociaż kochaną, ale mało korzystną pracę pastuszą i przeniósł się do wielkiego miasta, tak dzisiaj z historii wojny hiszpańskiej wszystkim nam dobrze znanego, do Barcelony. Długo krążył święty sierota po wielkiej metropolii, aż wreszcie znalazł kącik i pracę w jakimś małym zakładzie szewskim. Cichy i potulny jak zawsze, tylko swoim zasadom katolickim, które od matki przyjął wierny, znalazł co prawda u swego mistrza łaskawe przyjęcie, ale też naraził się na niejedną bolesną próbę. Pan majster nie należał do nadzwyczaj pobożnych. Pierwsza była u niego praca, a potem dopiero modlitwa. A tego to już młody święty zrozumieć w żaden sposób nie umiał. I stąd powstawały często między majstrem a młodziutkim czeladnikiem nieporozumienia. Toż po kilku latach, gdy siostra szczęśliwie wyszła za mąż, Salwator opuszcza dotychczasową pracę i swego „pana majstra”, a idąc za głosem serca, staje u furty słynnego opactwa benedyktynów w Monserrato.

Niestety... przyjęto go ale... w charakterze służącego. Powoli przygotowywała Opatrzność służbę swego do przyszłej misji. By stać się jałmużnikiem ubogich, musiał wpierw sam na sobie doświadczyć wszystkich cierpień i wszystkich prób. Już tam u OO. Benedyktynów słyszał niejednokrotnie o franciszkańskim Zakonie. Może mu nawet opowiadano, że kolebka franciszkańska, kościół Najśw. Panny Marii Anielskiej w Asyżu, to darowizna benedyktyńska dla franciszkanego zakonu. Toż w długie, wolne od zajęć chwile modlił się święty sierota i wtedy tak sobie myślał:— Mój Boże, gdzieżbym indziej poszedł, taki biedota jak ja? Tylko chyba do zakonu biedaków i ubogich i służących ubogim i wyznających ubóstwo, do zakonu św. Franciszka? Któregoś dnia, wymknął się cicho opactwa i dobrze sobie znanymi ścieżkami pobiegł do Barcelony. A tam na przedmieściach „za murami”, wznosiła się świątynia franciszkańska zwana S. Maria di Gesu, coś jakby po polsku: kościół Matki Jezusowej. A przy tej świątyni przytulnie, jakby gniazdko przy wielkim rozłożystym drzewie, krył się franciszkański klaszorek. Serce św. Salwatora uderzyło silniej, kiedy pochwycił za duży krzyż drewniany uwieszony na drucie przy furcie klasztornej. Rozległ się głos dzwonka, pojawił się brat furtian. Z ust świętego padły ciche lękliwe słowa prośby. Stał przed gwardianem klasztoru i... o dziwo! wbrew swoim wszystkim nadziejom (tak sobie bardzo nie ufał) został z miejsca przyjęty. Z bólem serca żegnali OO. Benedyktyni odchodzącego Salwatora. Może i wyczuwali ojcowie wielkiego opactwa, jaki to klejnot wymyka się im z rąk. Ale nasz zakon seraficki ma już szczęście do takich. Tak zniknął Kanonikom Regularnym św. Antoni z Padwy, tak sprytnie wymknął się OO. Konwentualnym i przeszedł do Bernardynów bł. Jan z Dukli, podobnie uleciał i św. Salwator z benedyktyńskiego opactwa. Może to i palec Boży był, że tak niedocenione tej gołębiej duszy i wielkiej pokory św. Salwatora i powierzono mu jedynie „z zaufaniem” obowiązki lokaja. Śnać uważała Opatrzność Boża, że dziecię to czegoś więcej warowało.

## **ROZDZIAŁ TRZECI, W KTÓRYM SALWATOREK ZE SZPITALA STAŁ SIĘ BRATEM SALWATOREM.**

Zabłyśnął słoneczny dzień trzeci maja 1541 roku, gdy przed ołtarzem Matki Jezusowej w Barcelonie br. Salwator otrzymywał z rąk przełożonego habit zakonny. Imienia mu nie zmieniono. Salwatorem pozostał na zawsze. Zaciągnięty do szeregu braci laików, już w nowicjacie objął obowiązki kuchenne pod twardą ręką brata kucharza, ot jak to w klasztorze... Po rannych modlitwach brał fartuch dobrze już wyszargany i miotłę do ręki, albo ścierkę z twardego płótna i zaczynała się codziennie ta sama szara, twarda, ofiarna praca zakonna, pod „batutą” nie zawsze słodkiego szefa kuchni. Ale tutaj zaczyna się w życiu świętego niby złota nić przejawiać coraz to częściej ten cudny, tak św. Salwatorowi charakterystyczny rys, jego bogomyślności. To była dusza, która umiała się modlić. Powiadają, że w klasztorach w których przebywał, zda się jakby do dziś jeszcze od ścian i cel szedł cichy poszept tych dwojga najstarszych imion, które z ust sługi Bożego ani na chwilę jedną nie schodziły: Jezus i Maria.

W zamian za to ofiarne oddanie się Bogu poczęły spływać już w zaraniu życia zakonnego wyjątkowe łaski, którymi Bóg nagradzał pracę sługi swojego. Ojcowie Jezuici w swoich słynnych „Acta Sanctorum”, tak opisują pierwszy cud, który zdarzył się jeszcze za czasów nowicjackich św. Salwatora: „Był zwyczaj w klasztorze Matki Jezusowej w Barcelonie, że dzień Nowego Roku obchodzono zawsze z niebywałym przepychem. Owóż zdarzyło się w tym roku kiedy święty był w nowicjacie, że Wielki Kanclerz księstwa Katalonii nadesłał hojny dar do klasztoru z życzeniem, by po nabożeństwach w kościele, bracia zakonnicy przygotowali należyte przyjęcie, w którym on ze swoją świtą weźmie osobiście udział. Przełożony klasztoru wydał odpowiednie zarządzenia i udał się na psalmodie do chóru. Nieszczęście chciało, że br. kucharz nagle zaniemógł, więc polecił br. Salwatorowi, by święty zaniósł klucze od kuchni przełożonemu z prośbą o wyznaczenie innego, który by przygotował zapowiadany obiad. Ale mówże to ze świętymi! Brat Salwator wszedłszy do kościoła zapomniał całkiem o wydanym sobie zleceniu i w najlepsze zatopił się w modlitwach, słuchając zachwycony psalmodii zakonnych. Skończyła się jutrznia, bracia odeszli do swoich zajęć klasztornych, a święty pozostał dalej na modlitwie i ani się spostrzegł, kiedy dzień nastał i słońce wysoko stanęło na niebie. Już było dobrze około południa, kiedy dziwny ruch zbudził świętego z modlitwowej zadumy. I wówczas to przypomniał sobie św. Salwator o danym mu zleceniu. Wstaje natychmiast, by się udać do przełożonego, kiedy oto sam przełożony wzburzony do najwyższego, jawi się w progu świątyni, Nie posiadając się od gniewu, siłą niemal pociąga świętego brata do kuchni i ustawicznie w kółko powtarza: „Cóż my teraz pocniemy! Co za niedołęga!” Ale jakież było zdumienie o. gwardiana, zgromadzonych w kuchni, a tak strapionych tym zajściem braci, gdy oto zauważają całą zastawę najlepszych potraw przygotowaną tak, że tylko je brać i podawać do stołu. Nie umiał tego wyjaśnić nikt z obecnych, a najmniej sam św. Salwator, który tymczasem wylęczniony i drżący klęczał w jakimś zakątku kuchni i tym się tylko martwił, czy go też za takie niedbalstwo nie usuną z klasztoru. Anioł jakiś, czy inna cudowna interwencja Boża to sprawiła, że podczas kiedy święty ten nowicjusz w prostocie serca szukał Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta, o której wspomina Pan z Ewangelii, została braciom w klasztorze cudownie przydana. Gdy o tym zajściu opowiedziano Wielkiemu Kanclerzowi księstwa, pobożny magnat był tym ogromnie zdumiony i polecił się modlitwom brata Salwatora. Tak piszą Bollandyści w tomie żywotów przeznaczonych na miesiąc marzec.

Tymczasem szybkim krokiem zbliżała się chwila świętych ślubów zakonnych. W tych czasach składano od razu śluby wieczyste. Bezpośrednio po ceremonii profesji, którą św. Salwator złożył z porywem i oddaniem się właściwemu świętemu, odczytano mu pismo prowincjańskie, mocą którego władza zakonna przeznaczyła Św. Salwatora do klasztoru Najśw. Panny Marii w Tortosa. Był to dom ścisłej obserwacji klasztornej, gdzie bracia prowadzili życie według najbardziej surowych przepisów zreformowanego zakonu pod nazwą tzw. franciszkanów bosych. Dzień w dzień wstawano o świtanie, odprawiano długie, częstokroć śpiewane modlitwy brewiarzowe, kwitła bogomyślność, umartwienie ciała i praca ręczna w ogrodzie,

lub spieszono z pomocą ubogim sąsiadom z okolicy. Ojcowie głosili słowo Boże, słuchali spowiedzi, lub wyjeżdżali z pomocą duchowną tam, gdzie ich wzywano. Po krótkim wytchnieniu już o północy wstawiała bracia zakonna na jutrznię, którą śpiewano codziennie uroczyście, a po niej niedługi spoczynek i znowu ten sam porządek dnia następnego. Święty Salwator wpadł w tę atmosferę wysokiego uduchowienia, niby ryba w nurty wody i poczuł się w swoim żywiole.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY, W KTÓRYM CZYTELNIK UJRZY W ZDUMIENIU WIELKIEGO CUDOTWÓRCĘ W OSOBIE POKORNEGO BRATA.**

Powiadają że sława jak cień: gdy ją gonisz ucieka przed tobą, ale gdy ty przed nią uchodzisz ściga cię, nieubłaganie. Św. Salwator chował się przed tą sławą jak umiał i gdzie tylko mógł. A położenie braciszka zakonnego niesłuchanie temu sprzyjało. Bo i jakżesz tu się chlubić i wynosić, jakże w ogóle szukać drogi do szczytów, gdy się ma do czynienia z narzędziami, które jeszcze dotąd nikomu zaszczytu nie przyniosły? Przecież trudno wyobrazić sobie, by miotła postugującego albo patelnia w kuchni, worek kwestarza albo klucz furtiana miał kogoś na świecie zaszczyścić. Ale tak jest na świecie! Zgoła inne i wręcz przeciwne są plany i zamiary Boże. W porządku nadprzyrodzonym, kto się poniża, będzie wywyższony, a kto się wywyższa, poniżony będzie. Tam, Pan pokornym łaskę dawa, a pysznym się sprzeciwia. Tam, wejrzy Bóg na niskość sługi swojego i takiemu dopiero uczyni wielkie rzeczy ten, który możny jest i którego święte jest imię. Chyba przez grube mury klasztorne przebiła się świętość brata Salwatora i jęła promieniować silnym blaskiem dokoła. Ludzie nie wiadomo skąd dowiadawali się o szczegółach życia św. Salwatora, o takich nawet szczegółach, które on skrzętnie i przed najbliższymi w klasztorze ukrywał, a wieść o świątobliwym bracie rozbiegała się lotem ptaka w najdalsze strony. Pojawienie się świątobliwego brata w kościele, wywoływało zachwyt, lud garnął się do niego, polecając się jego modlitwom. Bo taki już jest zmysł właściwy wierzącym (zmysłem Chrystusowym zwany), mocą którego człowiek uczciwy rozpozna w lot rzetelną cnotę i dobrze ją rozróżni od pozującego faryzeizmu. Jak nie ukryje się długo błyskotliwa obłuda, tak z drugiej strony prawdziwa świętość prędko wypłynie na jaw.

Któregoś dnia św. Salwator wyszedł na chwilę przed furtę klasztoru, gdy oto przybiega doń jakiś mąż dobrze już w sile wieku i nie bacząc na nic, pada na kolana przed świątobliwym bratem. Z zachowania się i ubioru widać było, że to jakiś zamożny obywatel miasta. Zawstydzony tym wyrazem uznania br. Salwator usiłuje podnieść klęczącego, ale daremnie. Stroskany człowiek podnosi na świętego oczy pełne łez i niemal modląc się, prosi: — „bracie Salwatorze, syn mój, jedyne dziecko, promyk oka mojego, umiera. Proszę cię westchnij do nieba, a jeśliś łaskawy, pójdź ze mną i włóż ręce na chore dziecko”. Brat Salwator, którego serce, jak już wiemy, tak było wrażliwe na każde cierpienie bliźniego, nie umiał się oprzeć gorącej prośbie ojca. Udali się w stronę mieszkania stroskanego rodzica. Okazało się, że chłopak od dłuższego już czasu podupadał na straszną chorobę kamieni pęcherzowych.

Święty Salwator wszedł pokornie do domu, stanął przy łożu chorego, położył rękę na jego czole, a oczy wzniosł do nieba i zaczął cicho odmawiać „Zdrowaś Maria”. A potem zwrócił się do ojca i matki i rzuciwszy krótkie słowa: — wierzcie i módlcie się! — uszedł co prędzej z mieszkania. Jakież było zdumienie zbolących rodziców, gdy po chwili chłopaczek otworzył martwe już prawie powieki i usiadł rumiany i pogodny. Choroba znikła bez śladu. Zaskoczeni tym cudem rodzice wybiegli co prędzej z domu, ale daremnie szukali świętego. Znikł jak widzenie. Przybiegli do furty klasztornej, natarczywie prosili, by im wywołano brata Salwatora, bezładnie jedno przez drugiego opowiadali o cudzie. Ale św. Salwatora nie znaleziono tego dnia w klasztorze. W kilka dni potem zdarzył się podobny wypadek niedaleko miejscowości Galera.

Podczas kwesty napotkał św. Salwator chorą na febrę dziewczynkę. Owinął dokoła jej szyi swój różaniec i razem z chorą dzieciną odmówił swoje słynne „Zdrowaś Maria”. Dziewczynka natychmiast powstała zupełnie uzdrowiona. Takich cudów mnożyło się z każdym dniem coraz więcej. Jak z procesu kanonizacyjnego wynika, już w kilka lat po śmierci świętego, generał zakonu wielbny o. Franciszek Gonzaga, przesyła na ręce papieża Sykstusa V cały długi rejestr zdumiewających cudów i łask, zdziałanych za wstawiennictwem brata Salwatora, podczas jego życia na ziemi. Cuda te były tak niewątpliwe, że je Ojciec święty wszystkie zaaprobował brewem papieskim: „Cum sicut Nobis” wydanym dnia 31 X 1586 roku. Ale taki stan rzeczy nie podobał się przełożonym klasztoru. Mnożące się z dnia na dzień łaski i cuda sprawiały, że klasztor nie zaznawał spokoju, już nie tylko w dzień. Nocami nawet gromadziły się dokoła klasztoru wzrastające z dniem każdym gromady ludu, które oczekiwały pojawienia się br. Salwatora. Wszystko to naruszało w wysokim stopniu porządek życia klasztorowego, a u braci wywoływało ustawiczny niepokój. Młodszy, ciekawsi, mieli ciągnąć sensację, inni budowali się tym stanem rzeczy, lecz wielkie te zjawiska odwoływały ich myśl od skupionej bogomyślności. Jeszcze inni zadawali sobie niepotrzebnie trudu i wysilali biedną mózgowicę, odwołując się do swoich psychologicznych uzdolnień, ażeby sprawdzić, zali to cuda są, czy może tylko jakieś czarnoksiężstwa. Doświadczali też nieraz boleśnie i na wielkie próby wystawiali świętość brata Salwatora. Znalazła się i taka grupka braci zakonnych, którym zazdrość nie pozwalała strawić tego, co się działo, i ci w niedwuznaczny sposób nalegali na przełożonych, ażeby temu wszystkiemu w jakiś sposób wreszcie kres położono. Tym ostatnim wreszcie stało się zadość. O. Prowincjał nie mogąc sobie już dać rady z tym co się działo, uległ wreszcie namowom braci i przeniósł brata Salwatora do Horty. Niektórzy żywotopisarze chcieliby, żeby święty przebywał jeszcze w międzyczasie w Bellpuig i w Lerida. Ale jeśli nawet i przebywał tam św. Salwator, to chyba tylko na niedługi czas.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY, W KTÓRYM SZUKĄĆ BĘDZIEMY TAJEMNICY ŚWIĘTOŚCI BR. SALWATORA Z HORTY**

Ś. p. ks. arcybiskup Bilczewski, gdy pisał o wielkim poprzedniku swoim na stolicy biskupiej, a zarazem o wielkim świętym franciszkanego Zakonu o błog. Jakubie Strzemieniu, zanim przystąpił do skreślenia jego życiorysu, napisał tak: „Wprzód zaprowadzę was do szkoły świętych i zastanowię się z wami nad tym: co to jest święty?” I tak dalej pisze wielki arcybiskup, sam kandydat na świętego: „Co to jest święty? Wielka to rzecz! To człowiek uczciwy. A więc taki człowiek, który kocha wszystko, co jest dobre, nienawidzi wszystkiego, co złe. Człowiek uczciwy godzien jest, aby przed nim ugiąć kolana. Jeśli człowiek uczciwy kocha dobre, a unika złego dlatego tylko, że mu jego naturalny rozum i wrodzony głos sumienia tak czynić każe, uczciwość jego jest czysto ludzką, czyli naturalną”.

„W chrześcijaństwie ta naturalna uczciwość nie wystarcza. Nie dla niej Chrystus stał się człowiekiem, nie dla niej dał się przybić do krzyża. Nam Zbawiciel objawił i nałożył obowiązek uczciwości wyższego rodzaju. „Wy bądźcie doskonali - - mówi On do nas — jako i Ojciec Wasz niebieski doskonały jest”. Uczciwość nadnaturalna... podtrzymuje, umacnia, użyźnia i podnosi do potęgi Bożej uczciwość naturalną, podobnie jak wiara chrześcijańska rozumu nie niszczy, tylko go prześwieca światłością Bożą, powiększa, przebóstwia”. A zatem święty — zdaniem ks. arcybiskupa Bilczewskiego i to jest zdanie nauczającego Kościoła — „to najdoskonalszy uczciwy człowiek, a zarazem najdoskonalszy chrześcijanin”.

A teraz przyjrzymy się jak wyglądała uczciwość w znaczeniu nadnaturalnym św. Salwatora z Horty?

By Czytelnika zbytnio nie nurzyć długimi wywodami o istocie świętości, ograniczę się do kilku uwag, które podał w ostatnim swym liście N. O. Leonard Maria Bello, Generał zakonu Braci Mniejszych.

W piśmie tym, wydanym z okazji kanonizacji św. Salwatora z Horty, w dniu 17-go maja 1938 roku, O. Generał tak streszcza świętość tego wielkiego Sługi Bożego. Mąż to był głębokiej pokory, dziecięcej prostoty i wielkiej modlitwy, opartej o ducha pobożności.

Z pokory wyłania się cnota franciszkańskiego posłuszeństwa posunięta do heroizmu, i to posłuszeństwo pokorne, stało się źródłem i przyczyną sprawczą świętości brata Salwatora z Horty. „Mąż posłuszny będzie opiewał zwycięstwo”. Podobnie jak z pokory posłuszeństwo wyrasta, tak z prostoty i posłuszeństwa wyłania się i jaśnieje, czystość. Jest to głos nie ludzki, ale Boży, który tak naucza. Mówi bowiem Duch św. „Kto chodzi w prostocie, bezpiecznie chodzi” (ks. przyp. roz. X w. 9). A Pan nasz woła: „Błogosławieni czystego serca”. Z czystości serca, z prostoty i niewinności, rodzi się zupełnie naturalnie duch modlitwy. Serce niezemskimi troskami zajęte, wlatuje siłą rzeczy do nieba, „ku porządaniom wzgórz wiekuistych”.



Jeżeli rozmowa nasza jest w niebiesiech, a serce przyzwyczajają się z wolna tam pozostawać utkwione, skąd prawdziwa radość spływa, wówczas to, wszystko co ziemskie traci w oczach naszych na wartości, z modlitwy i z ducha pobożności wyłania się ubóstwo. Cudowna to — Chrystusowi Panu i świętemu Franciszkowi najdroższa cnota, która człowieka z ziemi dźwiga do Boga, a Boga sprowadza z nieba do serca ubogiego. Tak pisze O. Generał.

Z wyżej wymienionych przez o. Generała charakterystycznych cech świętości brata Salwatora wynika koniecznie to, co teraz powiem: człowiek, który tak pojmuje świętość, musi kochać Boga i to co Boże z całego serca i z całej duszy, a bliźniego w Bogu i dla Boga musi kochać jak siebie samego. I tak było rzeczywiście w życiu św. Salwatora z Horty. Boga ukochał ten prosty, bez żadnej pretensji, cicho modlący się brat zakonny — całym ogromem swej serafickiej duszy. Szukał tego Boga po franciszkańsku. Odnajdywał go żywego w Eucharystii, w Krzyżu Męki Zbawicielowej, i w Sercu Matki Najświętszej, której Imię z ust mu nie schodziło. Szukał i odnajdywał Boga w przyrodzie, w której czytał jak w księdze otwartej. Zachwycało go niebo gwiazdziste i promieniste słońce i śpiew ptasząt i woń kwiatów — bo to wszystko wiodło go do Boga.

Razu pewnego, podano mu dojrzały owoc granatowego drzewa. Święty podzielił owoc na kilka równych części i nagle stanął zachwycony. Długo wpatrywał się w cichej kontemplacji w harmonię barw i w piękno życia tego owocu, a wreszcie zawołał; „O mój Boże, jeżeli tak zdumiewającą harmonię i ład pomieścisz w tym małym jabłku, o ileż wspanialszym musi być ład i porządek tam w królestwie niebieskim, wśród aniołów i wybranych Twoich! Stoją oni tam i w zachwycie wpatrują się w oblicze Twoje promieniste, o ileż bardziej promieniejące od czerwieni tego dojrzałego owocu!” Gdy to wypowiedział, uniósł się wysoko nad ziemię, trzymając w jednej ręce nóż, a w drugiej rozkrojony owoc granatu. I tak pozostawał w niemej ekstazie.

A ileż to razy, szczególnie w zimie, zastawano go w wirydarzu klasztornym odartym już z zieleni, jak przypruszony śniegiem, siedział do łez wzruszony z wielkim przetakiem w rękę, a dokoła świętego mnóstwo wielkie różnorodnych ptasząt, które on karmił, albo biorąc do ręki własnym tchnieniem ogrzewał. Naturalnie, że największą miłością otaczał rozumne stworzenia Boże, to znaczy ludzi. Nie było dla niego różnicy, czy to król w koronie, czy księżę władny, czy biedak siermiężny — czy głodny kaleka lub chory. Ale o tym wszystkim dowiedzą się Czytelnicy nasi w dalszym ciągu życiorysu brata Salwatora. Tymczasem kończymy te luźnie zebrane uwagi taką refleksją. Nie cuda i nie cudowność stanowią o świętości brata Salwatora, czy jakiegokolwiek innego świętego. Wprost przeciwnie: wielki trud z zupełnym oddaniem się Bogu sprawiają, że Pan cudami nagradza bohaterską ofiarność świętych. Cuda są uczciwości chrześcijańskiej nagrodą tylko i koroną.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY, W KTÓRYM BRAT SALWATOR PRZENIESIONY DO MIASTA HORTY, ROZWIJA TAM SWOJĄ ZDUMIEWAJĄCĄ MISJĘ**

Niedaleko od ujścia rzeki Ebro rozłożyło się miasteczko Horta, starodawna hiszpańska osada, szczytująca się niby drogim klejnotem, klasztorkiem Braci Mniejszych, odległym o kilka kilometrów od miasta. Klasztor ten leży w cudnej okolicy na stoku gór, ocieniony z wszystkich stron wielkim lasem. Kościółek zakonny posiada w swym wnętrzu prastary obraz Matki Bożej Anielskiej słynnej cudami, do której tronu przybywają często liczne pielgrzymki wiernych. Do tego to klasztoru przybył ok. r. 1547 św. Salwator. Pierwsze kroki swoje skierował do tronu Matki Najświętszej, której się oddał w opiekę.

Kiedy wieść o przybyciu brata Salwatora do Horty obiegała miasto, radni miejscy wysłali do klasztoru delegację najpoważniejszych obywateli, którzy powitali przybywającego brata, wyrazili swoją radość, że święty obecnością swoją zaszczyca Hortę i polecili miasto i mieszkańców jego modlitwom świątobliwego brata. Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy święty Salwator na przekór swojej skromności i pokorze tak się odezwał do przybyłych: „Moi panowie, zwracam się do was jako do opiekunów i ojców miasta i proszę, byście miasto zaopatrzyli w odpowiednie pomieszczenia i prowianty. Przybywać tu bowiem będą wielkie tłumy pielgrzymów, którym Bóg miłosierny będzie tu udzielał ogromnych darów swej łaski. Podobało się bowiem dobroci Bożej okazać tu wielką litość dla biednych swych stworzeń, by w ten sposób uczcić Najświętszą Matkę, która cuda te, dla dzieci swych, wypraszać tu będzie”.

Ojcowie miasta nie zrozumieli zrazu o co chodzi, ale w niespełna dwa tygodnie potem, zrozumieli wszystko.

Oto któregoś dnia o świcie, zapanował w mieście wielki ruch. Wrzawa rostała i posuwała się ustawicznie w stronę klasztoru. Tłum wielki różnej ludzkiej biedoty, zebrany w jedną olbrzymią procesję z okrzykiem: „Do kościoła! do brata Salwatora” .... zdążył w kierunku klasztoru. Byli tam biedacy z jałmużnej żyjący, byli ciemni, których wiodły dzieci małe albo wierny stary pies, byli chromi, pozbawieni rąk albo nóg, głusi, którzy z wielkimi rozwartymi oczyma zdawało się jakby chcieli wypatrzeć to, czego nie dosłyszą, byli wreszcie i tacy, którzy swoje kaleki i niemocnych wieźli na niezdarnych, z prostej deski skleconych wózkach. Cała ta dziwaczna procesja szła wśród ogromnego hałasu. Jedni płakali, inni zawodzili jakieś nabożne pieśni, jeszcze inni modlili się w głos. W Hortie zapanował popłoch. Co prędzej zamykano mieszkania i sklepy w obawie, że ta cała biedota lada chwila rzuci się i pocznie rabować. Ale oni nawet nie myśleli o rabunku. Niby jakaś ponura, bezbrzeżnie smutna procesja, przesunęli przez miasto i wnet zaczęli się wspinać po stromej ścieżynie, w stronę klasztoru.

Tam już „il santo laico” (św. brat) oczekiwał na nich uśmiechnięty przy furcie. I zaraz wiódł to wszystko biedactwo wprost przed cudowny obraz Matki Najświętszej. Nastąpiła głęboka

cisza. Wtedy odezwał się głos Salwatora: „Żałujcie za grzechy wasze, przystępujcie do Sakramentów św., wzbudzajcie w sobie wiarę w potęgę Marii, a Ona Was uzdrowi”! Tłum zastuchany ryknął w niebogłosość: Wierzmy! Dajcie nam księży, chcemy spowiadać się! Cóż było robić? Radzi czy nie radzi schodzili ojcowie klasztorni ze swoich cel i rozpoczynała się spowiedź niby w jakiś odpust wielki. Tymczasem, ledwo któryś co największy kaleka otrzymał rozgrzeszenie, zaraz sunął do ołtarza Matki Najświętszej i dalej wołał w niebogłosość o cud. Wówczas brat Salwator podnosił nad nimi spracowane swoje ręce i odmawiał: „Zdrowaś Maria”. A potem kreśląc znak krzyża, mówił w dialekcie katalońskim: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.”! Tyle tylko mówił i zaraz uciekał. Uciekał, bo nie chciał, ażeby lud przypisywał jemu zasługę, gdyż bezpośrednio po tym znaku krzyża świętego, następowały natychmiastowe zdumiewające uzdrowienia.

I teraz dopiero musiał zarząd miasta poważnie zatroszczyć się, jak pomieścić wciąż napływające rzesze. Bywały wypadki, że w przeciągu doby przesuwała się przez Hortę fala kilkutyśięczna. Nie było dnia, by ktoś odszedł nieuzdrowiony. Musiano więc na prędce stawiać prowizoryczne baraki, a nie obeszło się i bez tego, że nieporządani osobnicy robili przy tej okazji świetne interesy.

Zywotopisarz opowiada, że pewnego razu przybyła do Horty i to aż z Francji pielgrzymka, złożona z 10.000 osób z górą. Wypadki to w żywotach świętych rzadko spotykane. Kiedy Kościół święty przystąpił do badania cudów, w procesie kanonizacyjnym poruszono „niektóre największe”, nie licząc całej setki innych równie wielkich, których już nie zdołano kanonicznie sprawdzić. Otóż do rejestru tych największych cudów włączono: dwa wypadki wskrzeszenia umarłych, kilkanaście wypadków odwołania do życia ludzi już konających, uzdrowienie stu dwudziestu trzech chorych, trzydziestu pięciu głuchoniemych, trzydziestu ciemnych od urodzenia, a potem dodaje, autor procesu kanonizacyjnego: „nadto niezliczona liczba różnego rodzaju uzdrowień, wśród tych było jedenaście osób uwolnionych od złego ducha”.

Trudno nam pomieścić w tej skromnej broszurze tę długą litanię cudów i łask, które przytaczają Akta Świętych, bo jest ich ogromna liczba. Znajdujemy tam prócz wyżej wymienionych wypadków, także opis wielkiego daru prorocstwa, którym jaśniał św. Salwator z Horty. Wystarczyło, że spojrzał na kogoś, by mu z oczu wyczytać nie tylko to co się w nim święciło, ale i jego (z powodów grzechów) niejednokrotnie — smutną przeszłość. Pewnego razu przybył do Horty kapłan, którego nawet imię kroniki zapisały: nazywał się mianowicie Stefan Paschalis. Twarz biednego księdza szpecił wstrętny nowotwór, czy jakaś inna przez lekarzy nierozpoznana choroba. Aliści ledwo tylko kapłan ten wszedł do klasztoru, Salwator widząc go już z daleka, podbiegł, odprowadził biednego kapłana na bok, a patrząc mu prosto w oczy rzekł: „Ależ księżę, ksiądz jesteś w ekskomunice! Proszę się wyspowiadać, pojednać się z biskupem swoim, a choroba sama ustąpi!” Skruszony kapłan naprawił swój błąd, a potem

zupełnie już i to nagle uzdrowiony, grzech swój i cud doznany ku zbudowaniu wiernych długo jeszcze opowiadał. Na zakończenie tego rozdziału przytoczę jeszcze wypadek, świadczący o wielkiej ludzkości świętego.

Razu pewnego, kiedy święty przybywał w okolicach Horty, młodzieniec pewien imieniem Jan Ornos, zapragnął koniecznie poznać sługę Bożego. Ukończył był właśnie studia i to z chlubnym postępowaniem i ze stopniem doktora praw. Przybył więc do świętego z prośbą o błogosławieństwo. Brat Salwator przyjął go bardzo uprzejmie, a potem tak mu powiedział: — Idźże mój młody doktorze z błogosławieństwem Bożym ! A czcisz Matkę Najświętszą, która ci przygotowuje wielką łaskę. — Jakąż to łaskę otrzymam od Matki Najświętszej — zawołał zdumiony doktor, może będę zakonnikiem ? — Ależ nigdy w świecie, odparł śmiejąc się św. Salwator. Gdy będziesz dziś w Gerundzie, przechodząc przez miasto, patrz uważnie w okna. Tam w jednym miejscu zobaczysz zamykającą okno młodą panienkę, ubraną w popielatą suknię. Przypatrz się jej, bo to będzie przyszła twoja żona, z którą będziesz szczęśliwy. Nie trzeba było młodemu doktorowi dwa razy powtarzać takiego proroctwa. Zebrał się co rychlej i poszedł. Rynek w Gerundzie był pusty. Z powodu gorąca, okna były pozamykane tak, że Ornos stracił już nadzieję i począł z goryczą wymyślać w duchu świętemu bratu. Wtem patrzy, a oto uchyla się żaluzja i w oknie jawi się miła postać młodej dziewczeczki w pięknym popielatym kostiumie. Obraz zapadł głęboko w duszę i wyrzył się w pamięci młodego doktora. Po jakimś czasie i po dziwnym zbiegu wypadków, poznał tę pannę istotnie i niebawem poślubił ją. Nieraz potem opowiadał swym towarzyszom o tym dziwnym proroctwie. Jako wyraz wdzięczności w sercu obojga młodych, pozostał żywy kult dla Matki Najświętszej i dozgonna wdzięczność dla Jej sługi, brata Salwatora z Horty.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY, W KTÓRYM BRAT SALWATOR STAJE SIĘ BRATEM ALFONSEM**

Nikommu przez myśl nawet nie przechodziło, gdy się te cuda w Horcie działy, że prostaczy ten braciszek zaczął nagle wyrastać do miary jednego z największych apostołów walki z herezją Lutera. Swoistym rodzajem apostołstwa, godził św. Salwator wprost w podstawowe błędy protestantyzmu. Spowiedź, Eucharystia, kult Matki Najświętszej oraz głębokie oddanie się Kościołowi rzymskiemu i Ojcu świętemu, a wszystko to poparte zdumiewającymi cudami, dokonywało więcej niż najwymowniejsze kazanie. Ludzie najbardziej nawet „reformacji” przychylni, widząc tak niewątpliwe znaki objawiającego się Boga, porzucali swe błędy i ze skruchą wracali na łono Kościoła katolickiego.

Trzeba jednak było tego apostołstwa brata Salwatora także i w innych częściach Hiszpanii. I oto jakże dziwnym sposobem posługuje się Opatrzność, by z jednej strony zrealizować swoje plany i zamysły, a z drugiej dać pokornemu bratu nową sposobność do wielkich zasług przed Panem.

Bo oto cóż się dzieje ? Któregoś dnia, przybywa do Horty na wizytację kanoniczną o. prowincjał. Znanym już jest czytelnikowi stosunek i odnoszenie się braci zakonnych do misji św. Salwatora. Jak gdzie indziej podobnie i w Horcie powstają głosy protestu. Już i tam mimo tylu zdumiewających cudów, sprzykrzyło się braci zakonnej to ustawiczne stykanie się z wszelaką nędzą, ten cały chaos i zamęt otaczających klasztor tłumów nędzarzy. Przedłożono więc prowincjałowi skargę, że klasztor tak dotąd wzorowy, zatracił od czasu przybycia brata Salwatora do Horty swój specyficzny charakter, świętego zacisza ścisłej obserwacji. Poruszony tym do żywego o. prowincjał zwołuje do kapitularza zakonnego cały konwent braci, wzywa oskarżonego brata Salwatora i udziela mu surowej nagany. Słynne „Akta Świętych” podają nawet streszczenie tej prowincjałowskiej mowy: „Uważałem, że znajdę tu konwent wzorowy, tymczasem znajduję zamęt i niespokój. A wszystko dlatego, bo żyje w tym konwencie dziwak, który staje się przyczyną zamętu i zgorzenia. Toż pytam się ciebie bracie Salwatorze, jak długo jeszcze zamierzasz prowadzić taki sposób życia? Czy się nie wstydzisz słuchać, jak zewsząd dobiegają cię głosy: „Pójdźmy do świętego z Horty?” Czyżby raczej nie należało mówić: — pójdźmy do szatana, który braci w Horcie niepokoi? A wam Ojcowie i Bracia nie przynosi to wstydu, nie upokarza was to, że tylko jeden taki „święty” jest w Horcie? Toż, aby nawet imię smutnej pamięci brata Salwatora przestało istnieć, nakazuję ci nieposłuszny bracie, byś od dzisiaj nazywał się bratem Alfonsiem. Oto masz list z którym prosto z tego kapitularza udasz do konwentu w Reus, tam cię nauczą pokory”. I w uniesieniu wielkim nakazał dwom braciom wymierzyć bratu Salwatorowi bolesną chłostę w obecności wszystkich. Święty i cichy zakonnik przyjął tę karę z najgłębszym oddaniem się i w wielkiej pokorze. Po tym zebraniu udał się przed ołtarz Matki Najświętszej, odmówił swoje „Zdrowaś Maria”, a potem wstał i rzekł do towarzyszącego mu brata: „Jużem gotów; choćmy !” I wyruszyli w drogę na nową placówkę.

Droga do nowo wyznaczonego konwentu trwała całą dobę. W połowie podróży napotkali pielgrzymujący bracia miły cienisty gaj, gdzie uderzało źródło przezroczystej krynicznej wody. Brat Salwator, a właściwie teraz br. Alfons, pogodny i promienny, ukląkł przy źródle i zaczął się modlić. Towarzyszący mu brat obruszył się: — Czyś ty bracie oszalał? Tak cię tam w Horcie wyprawili, a ty się cieszysz ? A na to święty : — „Jakże miałbym się smucić bracie drogi, kiedy pomyślę, jaka to kara czekałaby mię w przyszłości! Tymczasem tu w życiu doczesnym tak łatwo pokutować za grzechy. Przecież wiesz, że serce królewskie (przełożonego) w ręku Pańskim jest, że je Pan skłania tam, kędy sam chce? Czyż nie wiesz, że liść jeden z drzewa nie spadnie bez Woli Bożej?” I ruszyli w dalszą drogę, w czasie której brat Salwator ustawicznie powtarzał najświętsze Imiona Jezusa i Marii.

Gdy przybyli do wyznaczonego konwentu w Reus, przełożony, mąż niesłychanie surowy, zebrał znowu braci zakonnych do kapitularza, by przedstawić zgromadzonym przybywającego brata. Gdy już wszyscy się zebrali, a święty braciszek ukląkł pokornie na środku sali, przełożony rzekł: — „Oto przysłała nam o. prowincjał tego niespokojnego ducha, który

poruszywszy całą Hortę, przyszedł teraz na występy do Reus! Jest taki sławny, że mu nawet imię zakonne zmieniono. Będzie się nazywał Alfonsiem. Ale powiadam ci bracie Alfonsie, że ja cię tych cudów oduczę! Na razie jak najsurowiej ci zakazuję rozmawiać z kimkolwiek ze świeckich i tumanić ludzi swoimi cudami". Nie długo potem wprowadzono go do kuchni i brat Salwator usłyszał jeszcze jedną repremendę: — Masz tu garnki, patelnie i kuchnię, popisuj się tutaj swoimi cudami! Módl się i pracuj, a to będzie największy cud".

Może to niejednego z czytelników zadziwi, że przełożeni ówcześni tak się okazali niewyrozumiałymi mimo, że palec Boży był tak widoczny w całym postannictwie świętego. Ale wziąć należy pod uwagę naprzód to, że P. Bóg zawsze przez podobne doświadczenia i krzyże przeprowadzał świętych swoich; po wtóre, przełożeni nauczeni niejednym smutnym doświadczeniem, z konieczności odnosząc się musieli z niedowierzaniem do tak niezwykłego życia św. Salwatora. Wszak nieraz zdarzało się (zwłaszcza w XVI wieku), że pod formą podobnych występów, kryła się niejednokrotnie obfuda i szantaż. Wreszcie, tego rodzaju próby są w ręku przełożonych najlepszym sprawdzianem prawdziwej świętości. Niedługo zabawił święty Salwator na nowej placówce. Wypadek zdumiewający i niezwykły spowodował jego przeniesienie.

Oto w kilka nieledwie dni po przeniesieniu Salwatora do Reus, nowa fala ludzkiej biedoty powiadomiona o przybyciu „świętego brata” otoczyła klasztor, domagając się wprowadzenia go do kościoła. Kiedy przełożony sprzeciwił się temu, biedacy podnieśli tak wielką wrzawę i posypały się pogrożki tak niedwuznaczne, że przerażony o. gwardian wpadł do celi świętego i zawołał: — „Czy ty widzisz bracie? Chyba jesteś w spółce z szatanem! Skąd się ta cała nędzota dowiedziała, żeś tu przybył?” Święty zakonnik uspokajał jak mógł przełożonego i prosił, by mu pozwolono wyjść i tłum uciszyć. Niestety było już zapóźno. Pod naporem setek rąk wypadła z zawiasów furta klasztoru i cała wielka rzesza ludzi, mężczyźni, niewiasty i dzieci, rozbiegła się po kurytarzach klasztoru z okrzykiem: — „Chcemy zobaczyć świętego brata! Pokażcie nam świętego brata Salwatora!”

Naturalna rzecz, że ani Salwator scen takich nie zamierzał, ani o nich nie myślał nigdy. Z drugiej jednak strony przełożeni, choć nawet z uznaniem dla miśli świętego, nie mogli dopuścić do podobnych rzeczy. Ostatecznością już skłoniony o. gwardian, polecił wreszcie świętemu, by wyszedł i lud uspokoił. Okrzykom radości końca nie było, gdy święty stanął wśród ludu. Cały ten tłum biedaków wprowadził Salwatora do kościoła, gdzie wygłosił on króciutką mowę, zachęcając do spokoju, do pokuty i do wiary we wstawiennictwo Matki Najświętszej. Potem odmówił nad chorymi „Zdrowaś Maria”, nakreślił nad nimi znak Krzyża św. i... jak mu było poleconem, opuścił natychmiast kościół, wśród okrzyków podziwu cudownie uzdrowionych chorych.

W międzyczasie, przełożony klasztoru, siedząc przerażony w swojej celi, pisał błagalny list do o. prowincjała, by świętego co rychlej przeniósł gdzie indziej.

Gdy list wysłano, jeden z braci w Reus śmiertelnie zachorował. Kiedy już wszystkie ludzkie środki zawiodły, wszedł do celi umierającego św. Salwator, zwany bratem Alfonsem. Jedno ciche „Zdrowaś Maria”, słynny znak Krzyża świętego i oto brat leżący w agonii porywa się na równe nogi i woła: „jestem uzdrowiony”! Niedługo potem nadszedł list prowincjański, mocą którego brat Alfons zostaje przeniesiony do konwentu gdzie odbywał nowicjat, tj. do Barcelony.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY, W KTÓRYM MAJESTAT MONARSZY I SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNA CHYLĄ CZOŁA PRZED POKORNYM SŁUGĄ BOŻYM**

Przeniesienie świętego do Barcelony nie dało się ukryć. Mimo największej tajemnicy, ludzie dowiedzieli się nawet o chwili wyjazdu świętego Salwatora. Toż urządzono mu tak wielką owację, że droga cała z Reus przez Tarragonę, Villafranca i Montserrat, aż do Barcelony... to jeden wielki pochód triumfalny pokornego brata, w którym szły ze sobą w zawody: okrzyk modlącej się wiary, głębia pokory świętego i moc Boża, rzucająca hojną dłońią zdumiewające dary swych łask. Gdy święty przybył do Barcelony, zastał tam nową, bardzo przykrą niespodziankę. Oto oskarżono świętego przed słynny podówczas w Hiszpanii trybunał inkwizycji świeckiej, o zakłócanie spokoju publicznego w całym kraju. Ze spokojem właściwym świętemu, stanął Salwator przed sądem. Po długim przewodzie, w czasie którego wysuwano nawet poważne zarzuty, pomawiające świętego o dążenie do rewolucji, wstał św. Salwator. Zebrani sędziowie oczekiwali jakiejś długiej mowy obronnej. Tymczasem święty z oczyma szeroko rozwartymi, wypowiedział w zdumieniu tylko jedno zdanie: „Ależ ja nie robię żadnych cudów: to Bóg cuda działa; ja jestem tylko wielkim grzesznikiem!” To rzekłszy, usiadł spokojnie. Na sali powstała wrzawa. Zdania były podzielone. Jedni powstawali przeciw, drudzy w obronie świątobliwego brata. Nagle otwierają się drzwi i na salę wprowadza straż więzienna dwu ludzi. Jeden, w sile wieku, szedł po omacku wspierając się na kij; był ślepy. Drugi, nie rozumiejąc o co chodzi (nie słyszał nawet panującej dokoła wrzawy) był głuchoniemym. Gdy na sali nastąpiła cisza, wstał inkwizytor.

— Uczynisz nad tymi kalekami znak krzyża? — zwrócił się do brata Salwatora.  
— Ależ uczynię wszystko co chcecie — odparł święty. Podprowadzają kolejno jednego kalekę po drugim przed ławę oskarżonego. Ciche „Zdrowaś Maria”, znak krzyża świętego i... dzieje się cud.

Z oskarżonego brat Salwator staje się oskarżycielem. Inkwizytorzy skruszeni padają na kolana przepraszając Boga. Stosują akt oskarżenia przeciw oszczercom. Nadto, sąd inkwizycyjny wydaje zlecenie i oświadcza, że: „działalność brata Salwatora z Horty (Alfonsem zwanego) jest nie tylko zbawienna, ale przebija się poprzez cuda tak oczywiste, wyraźna i konsekwentna myśl Boża”.

W Barcelonie zapanował prawdziwy szal radości. Tłumy oddawały hołd pokornemu bratu, prosząc go o modlitwę za sobą do Boga. Bywało, że przed klasztor zajeżdżały bogate powozy, z których wysiadali książęta krwi, biskupi i różni dostojnicy, ze „sprawami” do brata Salwatora.

Ale to co prześcignęło wszystkie dotychczasowe wypadki, to wizyta jednego z wysokich dostojników dworu, który oświadczył, że wielki król Hiszpanii Filip II, rezydujący w Madrycie, chce poznać brata Salwatora i wzywa go natychmiast do siebie.

W maju 1560 roku, otwierają się wrota królewskiego zamku w Madrycie, by wpuścić na pokoje monarsze nie oglądaną dotąd postać skromnego zakonnika. Jakże dziwnie odbijał się szary habit zakonny i bosa nogi sługi Bożego, od złotem litych jedwabów, od wspaniałych purpurowych płaszczy i gronostajowych żupanów królewskiego orszaku. Ale też jaki kontrast i w tym także, że prostota owa, wchodziła przed majestat królewski opromieniona blaskiem takiej chwały, o jakiej żadnemu z tych dostojników ani nawet śnić się nie mogło.

Król łaskawym ruchem powitał świętego, który z pokorą pełną godności pochylił się przed majestatem i zawołał spokojnie: — „Jezus i Maria! Bóg, który stworzył Waszą Królewską Mość, niech Wam błogosławi ! Jakoż to się stało, że majestat królewski wezwał taką nędzę przed siebie? Cóż w ogóle można mówić z biednym franciszkańskim kucharzem?”

Zdumiała wszystkich swoboda, z jaką prosty brat przemawiał do króla. Nie wiedzieli, że ten, który nawykł już do poufnej rozmowy z Królem królów i Panem panujących, nie wzdrygał się już ani nie mieszał przed żadnym ziemskim monarchą. Długo przemawiał król, polecając modlitwie św. Salwatora siebie, swoją dostojną małżonkę i losy królestwa swego. Gdy skończył, zabrał głos św. Salwator. Mówił zawsze z tym samym spokojem w głosie i z niewypowiedzianą sładczą: „Bóg jest przecież dobry ! Jeśli go o rzeczy słuszne i święte prosimy, wysłucha nas zawsze za przyczyną swej Matki Najświętszej. Postępuje Pan podobnie jak Wy królowie ziemscy. Niejednokrotnie zaszczycacie łaskawością swoją i powagą królewską człowieka, czasem nawet nie dworskiego i przez niego wykonujecie wolę swoją. Podobnie uczynił Bóg ze mną. Na narzędzie (i to bardzo marne) wybrał mię sobie, bo głupie i słabe tego świata wybiera Pan, by się nie chlubiło przed obliczem Jego żadne stworzenie. Na rozkaz Waszej Królewskiej Mości najchętniej przyrzekam modlić się za swego króla, za wierny lud tej mojej ojczyzny — Hiszpanii, by święta wiara katolicka była u nas zawsze zwycięska”.

Na sali panowała cisza. Król miał łzy w oczach.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: SPOTKANIE DWU WIELKICH ŚWIĘTYCH

W drodze powrotnej z Madrytu, towarzyszyły świętemu tłumy ludu, które okazywały mu wszędzie oznaki niezwykłej czci. W Walencji zastał św. Salwator generała Zakonu o. Franciszka Zamorę, który wizytując tamtejszą prowincję, zavezwał świętego do siebie. Chociaż św. Salwator wchodził do miasta o zmroku, wieść o jego przybyciu zwołała na ulicy Walencji wielkie rzesze, a co dziwniejsza: księżęca para z Segowii wyszła, by ujrzeć Salwatora. O. generał był tym tak zaskoczony, że nie wiedział sam, co o tym sądzić. Przyjął brata Salwatora dość chłodno i obojętnie.

W Walencji zaszedł wówczas taki wypadek: lud zgromadzony chcąc posiadać jakąś po świętym pamiątkę, gdy przy ubogim bracie niczego znaleźć nie zdołano, śmielsi poczęli przemocą obdzierać w strzępy habit na świętym. Po jakimś czasie pod osłoną kilku mężczyzn, wyniesiono świętego okrytego tylko łachmanem do najbliższego domu, w którym Salwator musiał czekać dłuższy czas, póki nie przyniesiono mu z klasztoru drugiego habitu. Z poprzedniego odzienia nie zostało nic. Po powrocie do domu, gdy św. Salwator miał już opuszczać Walencję by wrócić do Barcelony, nadszedł do klasztoru list księcia Gandii z prośbą do o. generała, by pozwolono br. Salwatorowi odwiedzić księcia.

Zamek książęcy wznosił się królewsko nad cudną okolicą, której drugim punktem koronnym był klasztor sióstr klarysek. Od jakiegoś czasu w klasztorze tym dawały się słyszeć niepokojące łoskoty, niby nadchodzącej burzy, to jakby gromów, a czasem zdawało się, że stado koni kłusowało po klasztorze. Zaniepokojone tym siostry zakonne, skarżyły się często na to dziwne zjawisko do księcia sąsiedniego zamczyska. A siedział wówczas na tym zamku pan z dostojnego rodu Borgiaszów, sam nie tylko zamożny i hojny, ale jaśniejący blaskiem niezwykłych cnót. Był to Franciszek Borgiasz. Imię to zasłynąć kiedyś miało daleko i szeroko po świecie, gdy mianowicie szlachetny ten pan, porzucił klejnoty rodowe i cały swój majątek i wstąpił do świeżo powstającego zakonu oo. Jezuitów, gdzie z czasem objął nawet najwyższą godność — generała tegoż zakonu. Ale to, co najbardziej wstawiło tego księcia, to jego bohaterskie cnoty, dla których z czasem święta Stolica Apostolska policzyła Franciszka Borgiasza w poczet świętych. Imię tego wielkiego świętego związane jest również z historią naszego polskiego narodu. W czasach bowiem, kiedy św. Franciszek Borgiasz piastował urząd generała zakonu, prowincjał augsburgski św. Piotr Kanizjusz przysłał do Rzymu młodzieńckiego świętego Stanisława Kostkę, którego św. Franciszek Borgiasz przyjął do zakonu i kierował pierwszymi krokami tego drogiego klejnotu naszego plemienia. Utarło się wówczas powiedzenie że, święty — świętego, świętemu posyłał.

Otóż, gdy wieść o cudach br. Salwatora z Horty doszła do Gandii, św. Franciszek Borgiasz postanowił sprowadzić świątobliwego brata do siebie, nie tylko by się osobiście zetknął z głośnym cudotwórcą, ale również, aby polecić jego modlitwom biedne siostry klaryski, którym niepokojąca zjawia — zda się szatańskich zakusów — spędzała niejednokrotnie sen z oczu.

Dziwne musiało być to spotkanie dwu wielkich duchów, z których jeden ozdobiony był klejnotem książęcego rodu a drugi, to skromny franciszkański braciszek. Historia nie podała nam szczegółów rozmowy obydwu świętych. To tylko wiemy, że zrozumieli się i przenikli na wskrós, a modlitwa brata Salwatora sprowadziła trwały spokój do klasztoru sióstr zakonnych, tak dotąd niepokoionych przez złego ducha.

Krótko tylko zabawił święty Salwator z Horty u św. Franciszka Borgiasza. Rozkaz bowiem generalski skierowywał brata Salwatora co rychlej do Barcelony, gdzie go czekały nowe krzyże, ale i nowa chwała.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY, W KTÓRYM ŚW. SALWATOR ŻEGNA HISZPANIĘ I UDAJE SIĘ DO ZIEMI WŁOSKIEJ, SKĄD PRZEJDZIE DO OJCZYZNY WIECZNEJ**

Podczas kiedy najgłośniejsi kaznodzieje Kościoła katolickiego wypowiedzieli nieubłaganą wojnę herezji Lutra, gdy na naszej polskiej ziemi zaczynał rozbrzmiewać proroczy głos natchnionego Skargi, brat Salwator doprowadzał do końca swoją owocną kampanię, zaśnając wiarę katolicką skuteczniejszą od innych bronią — swoimi wciąż mnożącymi się cudami.

Lecz niedługo już danem było br. Salwatorowi pracować na ziemi ojczystej. Jak z historii zakonu wiadomo, budził się wówczas szczególnie we Włoszech silny zwrot do coraz to ściślejszej obserwacji zakonnej. Przejawiał się on szczególnie w stwarzaniu klasztorów o wysokiej karności, tak zwanych z łacińskiego recessus, albo po włosku „dei ritiri”, coś jakby domy rekolekcyjne, gdzie jednak system rekolekcyjny obowiązywał przez cały rok. Przybył właśnie w tym czasie do Barcelony komisarz dla spraw zakonnych na Sycylię, który znając już świętobliwego brata skłonił go, by tenże zechciał wybrać się razem w podróż do Włoch.

O. generałowi zakonu chodziło, by głównie w Sycylii ugruntować życie ścisłe. Ponieważ komisarzem był Hiszpan o. Wincenty Ferri, toteż Hiszpanów najchętniej ze sobą zabierał. Na taką propozycję, posłuszny jak zawsze i do ofiar gotowy Święty, jedną znalazł odpowiedź: „Bóg mię tam woła; czekają mię tam nowe prace ale i nowe łaski”. Późnym wieczorem, by snąć nie wywołać sprzeciwu władz i ludu tak przywiązanego do Salwatora, wyruszył sługa Boży w daleką podróż ku słonecznej Italii.

Nie będziemy się szeroko rozwodzić nad tym ostatnim etapem pracy i trudów św. Salwatora. Ciekawych odsyłamy do kronik klasztoru w Kaliari, spisanych obszernie wytwornym piórem wielkiego sługi Bożego, generała zakonu i biskupa Mantui o. Franciszka Gonzagi. Żywotopisarze i kroniki klasztorne wspominają, że w czasie podróży powstała na morzu wielka burza, tak, że życie wszystkich poważnie było zagrożone. Wówczas to św. Salwator pokorną

modlitwa do Boga i znakiem krzyża św. uspokoił wzburzone żywioły, że szczęśliwie dostali się podróżni do portu Pula. W listopadzie 1565 roku przybył św. Salwator na wyspę Sardinie do Kaliari. To była jego ostatnia placówka na ziemi.

Co w tym końcowym etapie życia św. Salwatora jest najbardziej znamienne, to jego głębokie skupienie i wielki kult dla Najśw. Sakramentu Ołtarza. Choć nie było wówczas zwyczaju przystępowania do codziennej Komunii św., to jednak (jak zeznają żywotopisarze) św. Salwator nie opuścił nigdy tej uczy anielskiej. Przebywał teraz więcej w samotności, oddając się — jakby w przygotowaniu na bliską śmierć — życiu ściśle zakonnemu. Coprawda, wyprowadzała go jeszcze od czasu do czasu jego żarliwa miłość pomiędzy biednych. Moc Boża nie opuszczała świętego dotąd, prawie na zawołanie jawiła się łaska Boża, kiedy tylko święty o to poprosił. Wspominają o cudownym uzdrowieniu człowieka od urodzenia ślepego, którego przed tym święty nakłonił do pokuty, wyjawiając mu jego ukryte, ale wielkie grzechy. Wspominają też kroniki klasztoru w Kaliari o nagłych uzdrowieniach dokonywanych nawet wśród braci zakonnych i o trwającym duchu proroczym. Oddając raz pewnej stroskanej matce uzdrowionego z ciężkiej niemocy syna, przepowiedział jej: — „ten będzie jednym z naszych”. Istotnie, chłopak wstąpił później do serafickiego zakonu.

I można by tak długo jeszcze snuć obrazy coraz to inne, wielkich cnót br. Salwatora i cudów, którymi łaska Pańska wstawiała go do ostatniej niemal chwili jego życia. Lecz niestety skromne ramy zamierzonej tu pracy nie pozwalają nam na to. Zresztą mnożone wypadki w niczym już nie przyczyniłyby się do czci, którą Czytelnik powziął w swym sercu, czytając i tak już obszernie szczegóły tego zdumiewającego życiorysu.

Tymczasem nadszedł rok 1567, ostatni w życiu świętego. Dar prorocstwa, którym jaśniała dusza św. Salwatora, objawił świętemu i jego własną śmierć. Od tego czasu święty dziwnie poweselał. Jasna jego dusza, wyrwała się ustawicznie w tęsknocie nieukozonej do ojczyzny wiecznej. Często słyszano, jak klęcząc przed ołtarzem Matki Najśw. wołał: „O Jezu, o Mario! Czyż zasłużyłem na tyle łask”? Pewnej nabożnej matronie z Kalgiari, zdradził „swoją tajemnicę” tj. dzień swej śmierci. Było to 11 marca 1567 roku. Święty Salwator dotąd zupełnie zdrowy zapadł na silną gorączkę. Gdy mu zaproponowano lekarza, odmówił. Kilka dni trwała śmiertelna choroba. Przy łożu umierającego brata, gromadzili się bracia zakonnicy, codziennie niemal przybywał arcybiskup diecezji ks. Parraghese, wicekról Alvaro de Madridal, i inni dostojnicy, polecając się modlitwom świętego. Salwator leżał spokojnie, z niemilknącą modlitwą na ustach.

Aż wreszcie zbliżył się dzień św. Józefa, ostatni w życiu świętego. Sługa Boży przyjął z wzruszającym nabożeństwem wszystkie sakramenta święte. Ustawicznie powtarzał najświętsze Imiona Jezusa i Marii. Zmierz już zapadał, gdy Salwator złożył ręce jakby do modlitwy, oczy wznosił do nieba i głosem już słabnącym zawołał: „Panie! W ręce Twoje oddaję duszę moją”! To rzekłszy westchnął raz jeszcze głęboko.... i zgasł cicho.

Na dworze zachodzące słońce świetlista łuną malowało widnokrąg. Przez ziemię leciała pieśń dzwonów wzywając na Anioł Pański. A dusza wielkiego świętego ulatywała radośnie — do niebieskiej ojczyzny.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY, „I BĘDZIE GRÓB JEGO SŁAWNY”...**

Po dwakroć przenoszono błogostawione relikwie św. Salwatora z miejsca, gdzie był pochowany.

W roku 1717 złożono je w świątyni św. Maura, a w 40 lat potem, w kościele Braci Mniejszych pod wezwaniem św. Rozalii, gdzie św. Salwator spoczywa dotąd, oczekując dnia zmartwychwstania.

Sprawa kanonizacji Świętego przewlekła się w Kurii Rzymskiej bez końca, mimo tak zadziwiających znaków z nieba. Od 1600 roku trwały procesy beatyfikacyjne. Snać zachowała Opatrzność dzień wyniesienia sługi Swojego na czasy nasze, w których wypadki hiszpańskie powijające się jeden z drugiego z zawrotną szybkością, doprowadziły ojczyznę naszego Bohatera nad sam brzeg przepaści. Jakoż w chwili, kiedy dymy pożarów i opary bratniej krwi zasnuły gęstą osłoną niebo Hiszpanii, gdy od tej ziemi tak ongiś bardzo katolickiej, porwał się w bluźnierczym urąganiu zew straszny do wojny z Bogiem, gdy w proch rozpadać się jeły świątynie Pańskie, począwszy od kaplic przydrożnych i farnych kościółków aż do onych wspaniałych, na świat cały sławnych, tumów archikatedralnych — gdy czerwone sztandary, tak obce duchowi Zachodu, podniosły się złowieszczco w jasne błękity hiszpańskiego nieba, wtedy to... od złocistej kopuły św. Piotra w Rzymie, dał się słyszeć majestatyczny głos białego Starca z Watykanu: Pius XI, Namiestnik Boży na ziemi, ogłasza kanonizację Salwatora z Horty, dając Hiszpanii wodza do walki zwycięskiej o triumf Królestwa Bożego na ziemi. Kanonizacja odbyła się 17 kwietnia 1938 roku.

Nad Hiszpanią otwarło się niebo. Grób św. Salwatora zajaśniał nową chwałą. I od krańców po krańce tej męczeńskiej krainy rozbrzmiewa dziś ponownie ewangelia zbawienia: „nie lękaj trzódko moja... Jam zwyciężył świat”.

Z- Święty Salwator z Horty (brat mniejszy). Życiorys O. Fidelis Kędziński

Wydawnictwo: Nakładem Redakcji "Dzwonka Trzeciego Zakonu"

1938